Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Ogólnego zbioru numer 997, tom 38.—Serya III. 21 października (2 listopada) 1878 r.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Rękopisma pomniejsze, nadsyłane redakcyi Tygodnika, nie zwracają się.

№ 149. Prenumerata w Warszawie rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2, miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 2 listopada 1878 r.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie kwartalnie rs. 3.

Tom VI.

Aloizy Żółkowski. Podług fotografii Jana Mieczkowskiego w Warszawie. 272

Nieznana pamiątka po J. Lelewelu.

Dlaczegośmy zwykli tak wielką przywiązywać wagę do najlichszych zda się drobiazgów, z któremi się wiąże pamięć o ludziach geniuszu, lub nawet talentu? Dlaczego tym pamiątkom nigdy na zbiéraczach nie zbywało? Miejscowości, do których przywiązywaną jest pamięć o różnych epizodach ich życia, zwiédzamy zazwyczaj z sercem pełném jakiegoś uroczystego nastroju; sprzęty przez nich używane, szpargalik przez nich zapisany, wreszcie własnoręczny podpis, a nawet anegdoty o nich zbiérane są z upragnieniem, przyczém podrabiacze nieraz aż do zbytku nadużywają dobréj wiary.

Dwie strony ma każdy medal. Wczęści objaśnić to można przez błąd logiczny, wskutek którego ludzie, spostrzegłszy w człowieku cechy wyższości w jednym względzie, skorzy są do przenoszenia tych cech na wszystko, co tylko ma jakibądź związek z owym wybrańcem: wszystko wtedy staje się dla nich świętością, relikwią. Lecz z innéj znów strony te szczątki drobiazgowe z życia niepospolitego człowieka, dodane do jego wielkich czynów, tworzą obraz pełen życia i prawdy. Minęły te czasy, kiedy utrzymywano, iz ludzie wielcy muszą być we wszystkich względach doskonałością, i to od chwili, gdy poczęto baczniéj rozpatrywać się w szczegółach ich życia i działalności. Rychło się wtedy przeświadczono, jak wiele ci ludzie mają wspólnego z pospolitymi śmiertelnikami.

Uważaliśmy za słuszne podać tu w reprodukcyi jednę z próbek znakomitego historyka, bynajmniéj nie w myśli, jakoby ona przyczynić się miała do bardziéj wszechstronnego ocenienia Lelewela jako uczonego, lecz przekonani, że ta pamiątka może nam jeden rys dodać do ożywienia obrazu znakomitego męża, jako człowieka.

W 1822 roku Lelewel, natenczas profesor wileńskiego uniwersytetu, umieścił niniejszy obrazek w albumie córki jednego ze swych kolegów, Groddeka — panny Konstancyi Groddek. Czy pomysł sam miał jakie okolicznościowe znaczenie, nic zgoła niewiadomo. Przedmiot, wzięty z XIV rapsodyi Iliady, przedstawia tylko część homerowskiego obrazu, scenę odgrywającą się na górze Idzie. Oto treść odpowiedniego miejsca Iliady:

Kiedy się losy pomiędzy Trojanami i Danaami ważą, bogowie téż nie pozostają obojętnymi widzami téj walki, i oni biorą żywy w niéj udział, stając jedni w obronie téj, a drudzy owéj strony. Zeus Trojanom współczuje, małżonka jego Hera pragnęłaby Grekom zapewnić powodzenie; lecz baczność gromowładzcy staje jéj na zawadzie.

Pod pozorem więc podróży do swych zwaśnionych rodziców—Oceana i Tedydy, których ma niby pojednać—Hera, po kąpieli w pachnidłach, stroi swą kibić w najwspanialsze szaty, najdroższe klejnoty przywdziéwa i misternie układa swój warkocz. Niedość na tém: by niczego już nie zaniechcć, co tylko może rozkosznie podrażnić zmysły, po drodze wyłudza u Afrodyty (Wenery) jéj pasek, ów słynny talizman miłosny, przed którym każda siła uledz musi, i nadto zamawia sobie usługi Snu (Morfeusza), obiecując mu w nagrodę za uśpienie Zeusa najmłodszą Gracyą, do któréj Sen oddawna napróżno wzdychał. W ten sposób uzbrojona, udaje się na Idę i—powodzenie zupełne: Zeus nie oparł się tylu pokusom, Sen zaś nasuwa chmury i gwiazdy nocne zapala, lecąc z pośpiechem do Pozeidona, by mu wieść zanieść, iż pora Danaów pobudzić do walki i dać im zwycięztwo.

Kto z czytelników zna tę nawpół jowialną, nawpół tragiczną scenę z Homera, niechaj jéj sam użyje za komentarz do obrazka Lelewela; kto zaś jéj nie zna, z prawdziwą przyjemnością odczyta ją, choćby w przekładzie. Co do nas, nadmienimy, iż, pomieszczając ten obrazek w albumie panny Groddek, jakoby słynnéj z piękności, Lelewel musiał miéć na widoku albo jakąś okoliczność, któréj, jakeśmy wyznali, nie znamy, albo może chciał w téj przenośni wyrazić pogląd swój ogólny na rolę kobiéty i jéj siłę w sprawach tego świata.

Kto widział pracowity atlas Lelewela, dodany do jego badań nad geografią starożytną, i mikroskopijne jego podpisy na każdéj karcie, ten z łatwością odnajdzie z lewéj strony u dołu tegoż obrazka podpis, nie dla każdego wzroku bezpośrednio dostępny: Joachim Lelewel.

A. M.

Wspomaganie kształcącéj się młodzieży.

Kuryer warszawski, w zeszłopiątkowym swym numerze, poruszył *sprawę wspomagania kształcącéj się młodzieży* i roztrząsnąwszy stan obecny téj sprawy, doszedł do wniosku, nader słusznego, że należałoby postarać się o utworzenie w tym celu towarzystwa. Wkońcu autor artykułu, o którym mowa, proponuje: „aby za pozwoleniem władzy właściwéj zawiązał się z obywateli miasta i ludzi kompetentnych złożony komitet, któryby tak *opracowanie projektu ustawy towarzystwa*, jak i dalsze zaopiekowanie się tą sprawą wziął na siebie.“

Podzielając w zupełności zdanie Kuryera co do ważności poruszonego przedmiotu, uważam jednak za właściwe przypomnieć, że przed kilku już laty ludzie dobréj woli, w gronie dość liczném, do którego i piszący te wyrazy miał zaszczyt należéć, zajęli się opracowaniem ustawy takiego towarzystwa. *Rzecz przeto jest gotowa i wymaga tylko zatwierdzenia władzy.*

Przyjmując za pewnik, niepotrzebujący dowodzenia, że społeczeństwo, zarówno z pobudek ludzkości, jak i we własnym interesie, *powinno* nieść pomoc niezamożnéj, kształcącéj się młodzi, pragnę wyjaśnić tu tylko w kilku słowach, gdzie i kiedy, zdaniem mojém, ta pomoc jest najpotrzebniejszą i najpłodniejszą w zbawienne dla kraju następstwa.

Młodzieniec, który po ukończeniu gimnazyum wstępuje do uniwersytetu, sam już na siebie pracować, o własnych stać powinien siłach, chociaż zaprzeczyć nie można, że i tu dosyć często zdarzają się okoliczności, w których udzielanie pomocy staje się koniecznem. Ale pomoc taką niezamożni studenci uniwersytetu znajdują w licznych stypendyach rządowych i prywatnych; z drugiéj zaś strony przyjmowanie prostéj zapomogi ze źródeł pobocznych, dla młodzieńców blizkich już dojrzałości, a więc mogących i obowiązanych samodzielnie radzić sobie na świecie, jest zawsze poniekąd upokarzającém.

Inaczéj zupełnie rzecz się ma z uczniami niższych i średnich zakładów naukowych. Liczba stypendyów stosunkowo jest tu nierównie mniejszą, niż w uniwersytecie, a iluż-to ojców rodzin zdobyć się nie może na opłatę szkolną, wprawdzie umiarkowaną, do któréj jednak doliczyć jeszcze trzeba wydatki na umundurowanie, kupno książek i inne dodatkowe przedmioty.

Nie zdoła ponieść ich częstokroć ani urzędnik, szczupłą pobiérający płacę, ani ubogi rzemieślnik, liczném obarczony rodzeństwem, ani kupiec cząstkowy, u którego, jak to mówią, ledwo koniec z końcem się wiąże, ani literat, krwawo z dnia na dzień za liche pracujący wynagrodzenie, ani artysta, na ciężką zwykle u nas walkę z niedostatkiem skazany, ani wielu, wielu jeszcze innych, pragnących dzieciom swoim jakietakie dać wychowanie, a niemających potemu środków.

A przecież z tych właśnie warstw średnich najobficiéj w każdém społeczeństwie rekrutują się szeregi zdolnych pracowników, ludzi nauki i talentu, nieraz nawet i geniuszu, mogących zczasem stać się chlubą swego kraju, a w każdym razie powiększyć w nim liczbę światłych i pojmujących zadanie swoje obywateli; z nich wreszcie wyrastają zacne niewiasty, które kiedyś, jako żony i matki, dzielnie przyczynić się mogą do wychowania przyszłych pokoleń, jeśli potrzebne ku temu zdobędą wiadomości. Podanie przeto ręki tym młodym latorośloms, a raczéj ulżenie ich rodzicom ciężaru, którego podźwignąć nie są wstanie, prawdziwą jest zasługą przed Bogiem i przed ludźmi.

W zamiarze takiéj to zapomogi, ułożony właśnie został wzmiankowany projekt ustawy „*Warszawskiego stowarzyszenia pomocy dla kształcącéj się młodzieży.*“

Oto główniejsze jego podstawy:

Stowarzyszenie zamierza nieść pomoc niezamożnéj młodzieży płci obojga, bez różnicy wyznania, kształcącéj się w średnich i niższych zakładach naukowych, tak rządowych, jak i prywatnych, w Warszawie.

W tym celu:

a. Udzielać będzie młodzieży niezamożnéj zasiłki pieniężne, jednorazowe lub stałe.

b. Zaopatrzy ją w pomoce naukowe i ubranie.

c. Wyszuka i nastręczy odpowiednie dla niéj zajęcia.

Pomoce te mają być albo bezzwrotne, albo udzielane w sposobie pożyczek, na warunkach oddzielnie w każdym wypadku ustanawianych.

Członkiem stowarzyszenia może być każdy, bez różnicy płci, wyznania i położenia towarzyskiego, z wyłączeniem tylko młodzieży kształcącéj się w zakładach naukowych.

Członkowie dzielą się:

1. Na *członków-protektorów*, wnoszących jednorazowo nie mniéj niż rs. 100.

2. Na *członków zwyczajnych*, opłacających roczną składkę stałą po rs. 3.

Oprócz tego mogą być jeszcze wybiérane na *członków honorowych* takie osoby, które wniosły do kasy stowarzyszenia jednorazowo znaczną ofiarę, lub téż wyświadczyły mu inne jakie szczególne usługi.

Fundusze i środki stowarzyszenia stanowić będą:

a. Składki roczne członków.

b. Zapisy i ofiary pieniężne, tak od członków stowarzyszenia, jak i od osób innych.

c. Wpływy z odczytów, koncertów, zabaw i widowisk, na rzecz stowarzyszenia urządzanych.

d. Ofiary w naturze.

Kierownictwo stowarzyszenia powierzone będzie zarządowi i ogólnemu zebraniu członków.

Zarząd składa się z piętnastu członków, wybranych większością głosów przez ogólne zebranie; ci zaś ze swego grona wybiérają prezesa, wice-prezesa, sekretarza i kasyera.

Kurator okręgu naukowego warszawskiego jest opiekunem honorowym stowarzyszenia i, wrazie obecności, prezyduje na posiedzeniach zarządu.

Wszystkie urzędy w stowarzyszeniu sprawowane będą bezpłatnie; wmiarę jednak potrzeby, zarząd przybiérać może płatną pomoc kancelaryjną.

Prezes zarządu, jako przewodniczący na jego posiedzeniach, kieruje biegiem interesów stowarzyszenia, czuwa nad ścisłém wykonywaniem uchwał, poleca wydawanie wsparć, na zasadzie postanowień zarządu do protokółu zaciągniętych, reprezentuje stowarzyszenie nazewnątrz, oraz we wszelkich czynnościach prawnych i łącznie z sekretarzem podpisuje korespondencye.

Wice-prezes, pod nieobecność prezesa, zastępuje go we wszelkich czynnościach wyżéj wymienionych.

W zebraniach ogólnych przyjąć mogą udział wszyscy bez wyjątku członkowie stowarzyszenia, przewodniczy zaś na nich członek, z ogólnéj liczby obecnych na ten raz jeden wybrany.

Członkowie stowarzyszenia mogą zarządowi przedstawiać wnioski, mające na celu ulepszenia lub dopełnienia, odnoszące się do rozwoju jego działań. Jeżeli podane mniejszéj wagi wnioski zarząd uzna za pożyteczne, w takim razie niezwłocznie wprowadza je w wykonanie, w przypadkach zaś, przechodzących jego władzę, przedstawia je do decyzyi ogólnego zebrania.

Sprawozdania z czynności stowarzyszenia, rozpoznane i zatwierdzone przez ogólne zebranie, ogłaszają się w pismach peryodycznych.

Taką, w najogólniejszym zarysie, jest treść ustawy zamierzonego stowarzyszenia, którego jaknajprędsze wprowadzenie w życie byłoby istotném dla miasta naszego dobrodziejstwem.

Że z chwilą rozpoczęcia swych czynności znajdzie ono gorące poparcie, że ogół nasz, skwapliwie zawsze podtrzymujący każdą myśl zacną, upaść mu nie da, o tém wątpić się nie godzi; trudno bowiem zaprzeczyć, iż w liczbie instytucyj, ostatniemi czasy u nas zaprowadzonych, *Stowarzyszenie pomocy dla kształcącéj się młodzieży* najbardziéj będzie sympatyczném i najobfitsze téż dla przyszłości kraju obiecuje owoce.

Ludwik Jenike.

TAJEMNICA STEFANII.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

PRZEZ

JANA ZACHARYASIEWICZA.

Tom piérwszy.

(*Dalszy ciąg.*)

— Dziwny człowiek—wtrąciła pani Otylia.— Towarzyszy on zawsze pani Stefanii przy wszystkich konnych wycieczkach. Razu jednego przybył do Przetak jakiś młodzieniaszek najświéższego, dzisiejszego kroju. Mówił z pewną angielską apatyą o wszystkiém, a kobiéty prawie do rzeczy záliczał. Przed obiadem chciała pani Stefania użyć konnéj przejażdżki. Jak zwykle, stanął przy niéj stary kapitan Czyż. Po niejakim namyśle ofiarował także wspaniałomyślnie swoje towarzystwo nieoceniony młodzieniaszek. Gdy wszyscy do brzegu stawu się przybliżyli, obaczyła Stefania na samym jego środku wodne lilie i w zachwyceniu na nie ręką wskazała. —„Ciekawa jestem, rzekła, czy *on* popłynąłby po te lilie!“.. Wymówiła te słowa więcéj do swoich myśli, niżeli do obecnych.—„Któż będzie ten „on“ między nami?“—zapytał natychmiast kapitan Czyż... Młodzieniaszek zdobył się na dowcip, a stary Czyż jednym skokiem był już w stawie.

Proboszcz krzyknął prawie z przestrachu, a kapitan Sroka uśmiéchał się z rozkoszą na widok niebezpieczeństwa, w jakiém w téj chwili znajdował się jego antagonista.

— I cóż się stało? — zapytał strwożony proboszcz.

— Nic się nie stało—odpowiedziała pani Otylia.—Szaloną po wodne lilie wyprawę uskutecznił kapitan Czyż dosyć szczęśliwie, chociaż była połączoną z wielkiém niebezpieczeństwem. Była nawet chwila, że obecni z przestrachu oddech w piersi zatrzymali...

— Za pozwoleniem — przerwał z uśmiéchem August — czy i pani Stefania także zatrzymała w téj chwili oddech w piersi?

— Przeciwnie—z ironią rzekła pani Otylia— mówiono nawet, że dosyć obojętnie patrzyła na walczącego z tonią starego Czyża.

— Bardzo naturalnie—zauważył kapitan Sroka—ona w téj chwili myślała... o *nim*!

— O *nim*?—zapytała pani Kaminiecka—o kim mogłaby myśléć w takiéj chwili?

— Oczywiście o tym, który jéj przyszedł na myśl przy widoku wodnych lilij.

— Któżby to mógł być?

Kapitan Sroka ruszył ramionami.

— W tajemnice młodych mężatek nie lubię się wdawać—odparł spokojnie—a zresztą na nic nawet toby się nie przydało. Któż może odgadnąć, o kim w tak poetycznych chwilach marzy młoda mężatka?

Proboszcz z indygnacyą zażył tabaki.

— O kimże może myśléć—odparł gniéwnie—jeżeli nie o mężu?

Kapitan Sroka przymrużył oczy i uśmiéchnął się do swoich myśli, których nie chciał wypowiedzieć. Zrozumiała ten uśmiéch pani Otylia.

— Pan Sroka wié o czémś—ozwała się z pewném rozkoszném wzruszeniem—tylko nie chce otwarcie powiedzieć. Przecież jesteśmy sami swoi...

— Ani nawet nie mamy chęci nikogo obmawiać — dodała z pobożnym wyrazem na twarzy pani Kaminiecka.

Kapitan Sroka pokręcił głową.

— Niedobrze mnie zrozumiano—rzekł z wyrazem jakimś tajemniczym—mówiłem tylko ogólnie, nic więcéj. O pani Stefanii żadnych nie posiadam wiadomości. Przedewszystkiém nie znam jéj przeszłości, która, jak mi się zdaje, byłaby bardzo ciekawą.

— Zupełnie temu przeczę — przerwała pani Otylia.—Jéj przeszłość nie może mieć żadnych tajemnic. Matka lubiła się bawić, bawiła się z nią i córka, a wiémy przecież z doświadczenia, że śród głośnych zabaw nie rodzą się żadne głębsze tajemnice. Jeżeli już koniecznie jakaś serdeczna w niéj ma być tajemnica, to mogła ona tylko powstać nakrótko przed ślubem.

Słowa te sprawiły ogólne wrażenie. Każdy odgadywał w myśli, jaka mogła być ta przedślubna tajemnica... Pani Kaminiecka spojrzała pytająco na Augusta, ale August nie widział tego zapytania. Patrzył przed siebie, jakby ta tajemnica niewiele go obchodziła.

— Wszystkie przedślubne tajemnice upadają przed ołtarzem—ozwał się proboszcz—a kto je z kościoła do domu męża przenosi, ten popełnia krzywoprzysięztwo!

— Tak... to prawda... właściwie... chciałam powiedzieć, że tak być powinno — mówiła pani Otylia—ale natura ludzka jest tak ułomna, że nawet kościół miéwa to czasem na względzie i od przysięgi uwalnia.

— Jeżeli przysięga odbywała się pod przymusem.

— Tak... pod przymusem... to prawda... ale któż w dzisiejszych czasach zdoła określić, co jest właściwie przymusem? Czy przymus pochodzi tylko od brutalnéj woli rodziców lub opiekuna, czy składają się na niego owe subtelne pajęcze nici, jakiemi krępują nas dzisiejsze stosunki społeczne i warunki naszego bytu?...

— Pani zadaleko rozszérzasz granice przymusu...

— Być może—odparł August—że ze stanowiska religijnego musi być pewna ciaśniejsza granica tego przymusu; sądzę jednak, że w słowach pani Otylii mieści się także wiele gorzkiéj i bolesnéj prawdy.

Kapitan Sroka spojrzał z uwagą na Augusta.

— Pan pojąłeś bardzo trafnie prawa kobiécego serca—rzekł po chwili milczenia.

Przelotny rumieniec okazał się na twarzy Augusta. Krótko trwał, mimo to nie uszedł uwagi pani Otylii.

— Nie wiem czy za siebie, czy za swego przyjaciela zarumienił się August—zawołała z wesołym uśmiéchem.

— W takich sprawach człowiek jest egoistą— zauważył kapitan Sroka—i szczęściem swojém nie podziela się z nikim.

Słowom tym towarzyszył śmiéch ogólny, który pozwalał i innym przyłączyć się do ogólnego akordu. I Augustowi nie pozostawało nic innego, jak śmiać się razem ze wszystkimi, i śmiał się téż szczérze, serdecznie, nawet bez przymusu.

Rozmowa zeszła na inne tory.

VIII.

Przez kilka następnych dni po téj rozmowie wieczornéj zajęty był August oglądaniem gospodarstwa. Dzierżawa Mendla zbliżała się do końca. Trzeba było wszystko obejrzéć i stosowny na przyszłość plan powziąć.

Zatrudnienie to nie było bardzo przyjemne. Wszędzie uderzały spustoszenie i ruina. Do tego jeszcze doradzca domowy pani Kaminieckiéj jakby się uwziął na to, aby Augusta od własnéj gospodarki odstraszyć. Prowadził go tam, gdzie widok był prawdziwie odstraszający.

Śród tak nieprzyjemnego widoku i zawodu, jaki go przy nowym zwrocie życia spotykał, trzeba było przykre uczucie czémś inném zastąpić. Polować nie lubił, w karty nie grał, zresztą nie odnowił jeszcze stosunków sąsiedzkich. W takiém położeniu trudno było o jakąś rozrywkę. A przecież pragnął gorąco czegoś, coby mu choć na chwilę rzeczywiste jego niepowodzenie osłodzić mogło.

W braku innego tematu, przychodziło mu na myśl to wszystko, co w tych dniach o dawnych znajomych, a dzisiejszych sąsiadach słyszał. Nie było mu to tak bardzo obojętne, jak się napozór wydawało. Mógł wprawdzie zapomnieć o przelotnych dawnych marzeniach swoich, ale wtedy tylko, gdyby te naówczas były wprost wzgardzone i gdyby osoba, któréj się one tyczyły, wyborem szczęścia swego czuła się całkiem zadowolona.

Tak jednak nie było, a to, co dzisiaj o niéj słyszał, mogło słusznie myśli jego ku niéj skierować.

Osoba ta była wprawdzie dzisiaj mężatką. Już samo te słowo powinno było dawne jego marzenia zakończyć. W gruncie rzeczy tak téż było. Nie myślał nawet o tém, aby do ówczesnych marzeń powrócić. Chodziło mu tylko conajwyżéj o wyjaśnienie tego, co w tych dniach o niéj słyszał.

Czyżby miało być prawdą, że był tak blizkim szczęścia i że tylko nieprzychylny zbieg okoliczności wytrącił go z téj drogi?.. Może to o nim myślała Stefania wtedy, gdy starego Czyża po wodne lilie na staw wysłała? Może to żal, że się inaczéj nie stało, wpłynął dzisiaj na tę zmianę, o któréj mówił kapitan Sroka?..

Nie można zaprzeczyć, że w podobnych zapytaniach mieściło się trochę próżności, tak ściśle złączonéj z naturą ludzką. August mógł nawet więcéj od innych mieć prawa do takiéj próżności. Był przystojny, umiał się w towarzystwie podobać, a nawet cieszył się w salonach niemałém powodzeniem.

Gdy sobie przypomniał wszystkie szczegóły o piéwszém spotkaniu się ze Stefanią i gdy te szczegóły teraz przez mgłę oddalenia jeszcze raz przeglądnął, zdawało mu się, że w tych szczegółach jest cóś, co go do marzeń słusznie uprawniało. I byłby niezawodnie celu dopiął, gdyby krewna jego sąsiada, pana Zdzisława, mieszkająca w stolicy, nie była młodéj, niedoświadczonéj panny tak zręcznie obmotała, że ta bez myśli prawie innemu oddała rękę. A stało się to tak szybko, tak niespodzianie, że we dwa tygodnie nastąpiły oświadczyny i ślub zarazem.

Wprawdzie nie był on wtedy jawnym konkurentém Stefanii, którą niedawno co poznał; jeszcze niczém nie zaznaczył przed światem swoich intencyj, chociaż do Stefanii zaczął się już zbliżać w sposób bardzo delikatny, jak tego wymagały lepsze instynkta. Chciał piérwéj zbliżyć się do jéj serca, chciał się dowiedzieć, czy to serce może dla niego odczuć wzajemnością. W życiu salonowém jest-to droga nieco zbyt długa. Tudno tam o sposobność, któraby do takiego celu doprowadzić mogła.

Tymczasem z innéj strony wystąpiła akcya o pannę w sposób, zwyczajom salonowym bardzo odpowiedni. Bogata i umiejąca taką akcyą prowadzić dama stołeczna, wzięła sprawę swego kuzynka w ręce, wyprawiła szereg świetnych wieczorów, otoczyła pannę odurzającą atmosferą tego wszystkiego, co wielki świat dać może—i upojona, oszołomiona Stefania poszła do ołtarza, z twarzą zarumienioną od tych wszystkich pięknych rzeczy, jakie na jéj cześć wyprawiono.

Augustowi pozostało tylko miejsce spektatora pod filarem w kościele.

I być może iż August osobiście nie poniósł przez to wielkiéj straty. Większą klęskę poniosła familia, która w milionowym posagu Stefanii widziała wielką wygraną. Zresztą nikt jeszcze prawie nie wiedział wtedy o serdecznych zawodach